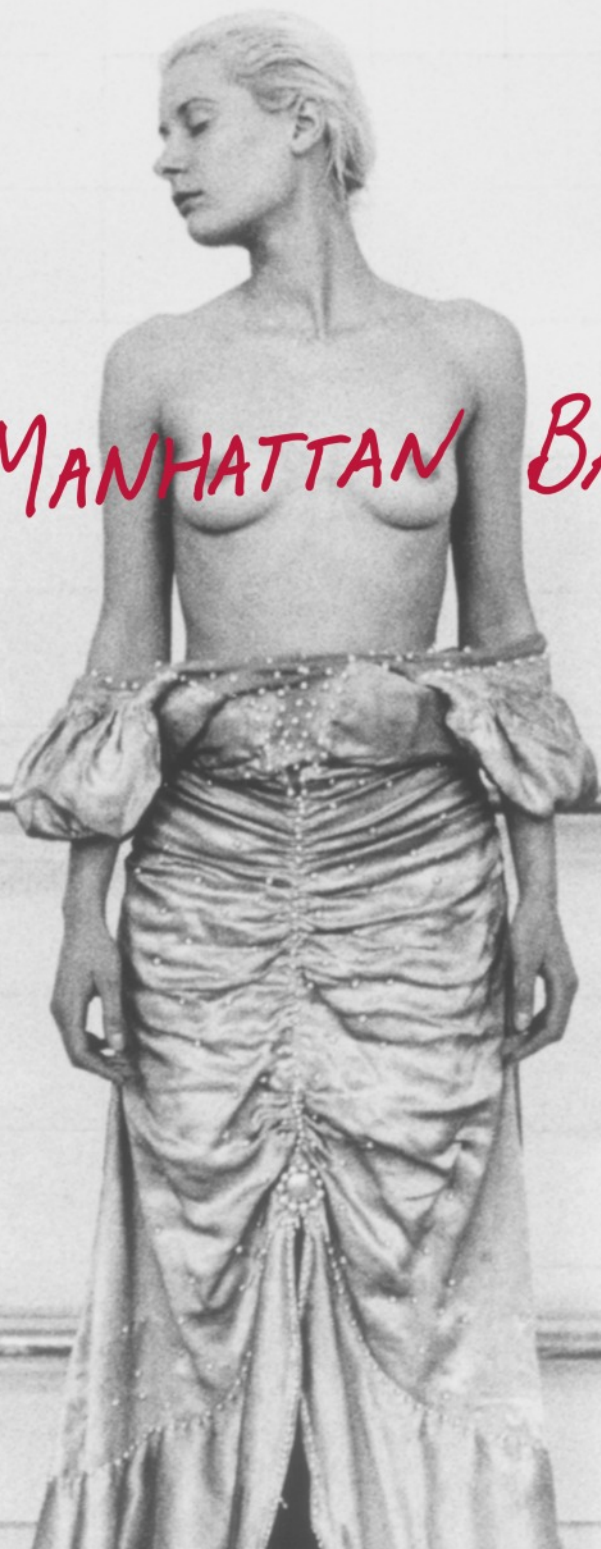


LECH MAJEWSKI

MANHATTAN BABILON



MANHATTAN BABILON

LECH MAJEWSKI
MANHATTAN BABILON



Jeden

Czwartek, 31 lipca 2003

Twarz Cordeliusa odbija się w ciemnej szybie, za którą migoczą wieczorne światła Manhattanu. Rozpalone okna w przeciwległym budynku dozuja tajemnice strzępów życia, fragmentów postaci. Telewizory wybuchają zmiennymi światłami i hipnotyzują widzów, by zamienić ich w beznamienne i śnięte ofiary, którym ekran wysysa mózg. Ci przy komputerach wyglądają na ożywionych: wystukują coś z furją na klawiaturach i nieruchomieją, by znów niepokoić klawisze.

W akwariach pokojów lśnią elektroniczne łuski, a tych, którzy nie patrzą na nic, jest niewiele: gdzieś postacie przepływają między oknami w drodze do kuchni lub sypialni; po zapaleniu światła żaluzje w sypialniach opuszczane są od razu i na niewiele zda się długie wpatrywanie. Chociaż czasami, gdy lampka nocna ma wystarczająco silną żarówkę, widać cienie na zasłonach, jak w chińskim teatrze, odgrywające mechaniczne spektakle namiętności.

W szybie odbija się teraz czerwone światełko; znak, że kamera została włączona, a obiektyw kieruje się na mężczyznę, który w pustawym mieszkaniu zajęty jest tresurą psa. Foksterier wskakuje na wyliniały fotel i zeskakuje, merdając ogonem, wpatrzony we władczą rękę swojego pana w ciemnozielonej koszuli naznaczonej oliwkowymi zaciekami potu. Skoki powtarzają się coraz szybciej i szybciej; tresura coraz bardziej przypomina sadystyczną musztrę, a pies zamiast protestować, poszczekuje ze szczęścia.

Obiektyw przesuwa się w dół ściany budynku i zatrzymuje na nieruchomej postaci, ubranej w strój wikinga, w dwurożnym hełmie i płaszczu do ziemi, pilnującej wejścia do budynku. Rozlega się pisk hamulców i skowyt psa.

Trafiony w bok młody wilczur skamle, szczyrzy kły, sapie, charczy i rzyga krwią. Taksówkarz sprawdza, czy nie wgniółł błotnika. Atakuje go młoda Murzynka w obcisłym kostiumie udającym sierść pantery, z biodrami przewiązanymi czarnym szalem. Taksówkarz odpycha ją od samochodu, wsiada i zatrzaskuje drzwi z impetem, który urywa tyradę kobiety. Trąbi, by odsunęła się i pozwoliła mu odjechać, lecz dziewczyna, nie zważając na kierowcę, ściąga z bioder szal i opatula nim dogorywającego wilczura. Podnosi psa



i idzie chodnikiem, pozostawiając za sobą krzepnące ślady krwi.

Cordelius opiera się o kaloryfer. Nikła poświata niewyłączonego panelu kamery oświetla jego twarz – niemal dziecięcą, z szeroko rozstawionymi oczami, które patrzą na świat z wyrazem bezustannego zdumienia. Jest coś nieludzkiego w jego spojrzeniu, tak jakby Cordelius przyleciał z Marsa i obserwował ziemskie otoczenie z zachłannym niedowierzaniem.

Z twarzą przyklejoną do monitora Cordelius powtórnie ogląda, jak taksówkarz odjeżdża, a przechodnie odwracają głowy od wypadku i patrzą na wikinga, który nawet nie drgnął podczas całego zajścia.

Dwa

Potężny, od ziemi po wierzchołek stalowego hełmu mierzący ponad dwa metry, otulony opończą wiking wygląda jak pomnik. Pewnie dlatego policjanci i portierzy nazywają go „Stoneman”. Gęsta, poskręcana i siwiejąca broda pożera jego nieruchomą twarz. Oczy zamknięte i zapadłe – ślepe. Spierzchnięte dłonie zaciskają się na włączni zrobionej z pręta wyrzuconego na złom. Stoi przy granitowym gzymsie XIX-wiecznej kamienicy i – jak ów budynek – jest archaizmem w niespokojnym pejzażu Manhattanu.

Przechodząc przed jego obliczem, ludzie zwalniają – niektórzy zatrzymują się, by lepiej przyjrzeć się dziwnemu zjawisku, nie tyle z racji stroju, co bezruchu tak obcego ich codziennej gonitwie. Nie widząc naczynia na jałmużnę, pytają, co reklamuje, a ponieważ nie słyszą odpowiedzi, spekulują: może ktoś kręci film lub program telewizyjny. Rozglądają się niepewnie i podejrzliwie w obawie, że ukryta kamera napiętnuje ich wstydem przed sąsiadami.

Jeszcze inni, głównie turyści z Dalekiego Wschodu, ustawiają się do pamiątkowego zdjęcia, tak jak to robili tydzień temu w Londynie u boku gwardzisty w purpurowym uniformie i włochatej czapce równie unie możliwiającej spojrzenie żołnierzowi w oczy. Tam, w Londynie, nikt jednak nie zastanawia się, kogo lub czego pilnuje gwardzista, tu w Nowym Jorku, wprost przeciwnie.

Ktoś mówi, że wiking stoi na straży wejścia do tunelu wiodącego w zaświaty, inny ze śmiechem stwierdza, że przecież sam wygląda na martwego; jeszcze kilka docinków wobec kamiennego oblicza i nagle powietrze rozrywa bolesny skowyt hamulców i potrąconego psa.



Manhattan Babilon

Trzy

Mroczną twarz Yerby Cili spowijają kłęby dymu. Dłońmi o spękanej skórze unosi kadzidło i podtyka pod nos Matki Boskiej na oleodruku wiszącym wśród różańców, maskotek, wizytówek i banknotów. Zatluszczoną szybę chroniącą wizerunek pokrywają ślady szminki. Yerba unosi i opuszcza kadzidło siedem razy, spluwa za siebie i przedziera się przez zagracony pokój do równie dusznej kuchni. Niemal na każdym kroku potrąca meble. Jej biodra zahaczają o serwetę, poduszkę, makatkę, a jej dłonie, niczym policjanci pilnujący porządku, zaraz przywracają naruszone symetrie.

W przedpotopowej lodówce, która bardziej grzeje niż chłodzi, znajduje butelkę wódki Gorbatschov. Leje sporą porcję do lepszego słoika, miesza z dżemem czerśniowym i wypija duszkiem. Rozlega się dzwonek do drzwi. Uśmiechnięta Yerba wyciera usta papierem ściernym wierzchu dłoni i krzyczy:

— Nie ma mnie!

– Otwieraj, Yerba, nie wygłupiaj się – słyhać głos kobiety przyzwyczajonej do humorów Yerby.

– Yerby nie ma, wyszła.

– Otwieraj, bo zaleję ci krwią całą klatkę schodową.

– To zalej! – Yerba najwyraźniej dobrze się bawi. – Yerba Cili poszła do kościoła.

Słyhać przekleństwo i kopnięcie w drzwi.

– Otwieraj! Bo jak nie, to krew spłynie na ulicę i jak Yerba wróci z tego kościoła, to zelówki jej z krwi nie obeschną.

Kołysząc biodrami i potrącając krzesło oraz kredens, na którym dzwonią kryształowe bibeloty, Yerba daje się wreszcie przekonać i wpuszcza do mieszkania Murzynkę z trudem podtrzymującą zwłoki wilczura opatulonego w szal. Wełna przesiąknięta krzepnącą krwią zmieniała kolor z czarnego na brunatny. Ślady krwi pokrywają obcisły kostium, przypominający teraz sierść pantery po uczcie.

– Gdzie go zanieść?

– Co się pytasz, Shygirl. Tam gdzie zwykle.

Murzynka kładzie psa w kuchennym zlewie, a Yerba włącza górne światło o lodowatym blasku neonówki. Dopiero teraz widać oczy Yerby; ledwo otwarte, napuchnięte powieki ukazują źrenice i tęczę w tym samym brązowym kolorze.

– Cała się uświślałam – żali się Shygirl. – Cholera, nowy kostium.

– Krew się spierze – Yerba wyciąga z szuflady rzeźniczy nóż i fachowym cięciem rozpruwa podbrzusze psa. Bucha krew, a Yerba zatapia obie dłonie w ciepłych wnętrznościach.

Chwilę później, siedząc w pokoju nad parującą wątrobą, Yerba wykrzykuje niezrozumiałe słowa i zamyka oczy. Shygirl cierpliwie obserwuje każdy jej ruch. Yerba mruczy pod nosem, chrapliwie śpiewa kilka fraz *Somewhere over the rainbow* i milknie. Płacze, pochlipuje i smarka prosto na wątrobę. Jej powykrzywiane palce dotykają lśniących płatów.

– Nic, tylko ciemność – rzezi Yerba. – Widzę tylko ciemność. Musisz uważać... Musisz... Boję się o ciebie.

Cztery

Piątek, 1 sierpnia 2003

Upalne popołudnie w Central Parku przyciąga spacerowiczów do fontanny Bethesda. Przysiadają na granitowym progu basenu i zanurzają dłonie w ciepłej wodzie, nie zważając na puszki i niedopałki wirujące wokół strumieni. Z pobliskiego zoo dobiega przeraźliwy ryk osła i chichot hieny zagłuszony narastającym jękiem karetki pogotowia.

Jeden z mężczyzn podwija nogawki, ściąga sandały i prążkowane skarpety. Zanurza opuchnięte stopy w wodzie. Jego przyklejona do pleców seledynowo-neonowa koszula jest częścią uniformu pracowniczego, co potwierdza brązowa tabliczka na kieszeni prawej piersi; można na niej przeczytać:

WALLY MART

i pod spodem, mniejszymi literami:

WALLY HERZ.

Purpurowa twarz i przekrwione oczy świadczą o naturze choleryka lub zamiłowaniu do barów, może

o jednym i drugim. Rude włosy, przerzedzone na czubku głowy, mają pasma poskręcanych, ciemniejszych kosmyków, na których zbierają się krople potu. Wygląda na Irlandczyka, który potrafi powalić krowę uderzeniem pięści.

Tuż obok niego pulchna blondynka w kremowej sukience zsuwa pantofel, by nieśmiało zanurzyć stopę w fontannie. Rudzielec wpatruje się jak zahipnotyzowany w jej białą łydkę, na której widnieje tatuaż węża oplatającego drzewo.

— Dobrze pani robi — chwali półgłosem. — Wszyscy tak powinni. Stopy muszą oddychać.

Speszona blondynka odwraca się, a on wzrusza ramionami i zakłada sandały. Kłaniając się, podnosi z ziemi teczkę i kij, do którego przytwierdzona jest plansza z napisem:

KONIEC ŚWIATA NADCHODZI
WSTĄP DO SOBORU OSTATNIEGO DNIA
DZWOŃ 1-800-3054444

Pięć

Pękaty plecak Cordeliusa spoczywa na dnie ogromnego wózka na zakupy. Prześwietlony totalitarnym, nieznoszącym cienia światłem jarzeniówek, Cordelius wędruje wśród regałów supermarketu. Ze skupieniem archeologa odczytuje naklejki, porównuje ceny i sprawdza, czy dana puszka lub słoik zgadza się z wyglądem puszki i słoika na ofertach wyciętych z gazet. Ma ich cały plik. Zaciska je w dłoni, przegląda powoli i skrupulatnie, tu oszczędza pięć centów, tam dziewięćdziesiąt pięć. Myśli i zastanawia się tak, jakby spędzeniem kilku godzin w sklepie należało się delektować.

Cordelius dochodzi do stoiska ze źle uszytą odzieżą; pchając wózek, mija je nieuważnie, dopóki nie ociera się o letnią sukienkę, która zwisa z wieszaka zatkniętego w boczny regał. Jest biała w czerwone groszki, ktoś obejrzał ją i odwiesił byle gdzie. Cordelius przełyka głośno ślinę, zgniata bezwiednie wycinki ofert i chowa je do kieszeni. Czoło zrasza mu pot. Rozglądając się nerwowo, dotyka sukienki, a gładka, nylonowa tkanina zahacza o popękane opuszki jego palców.

Sześć

W zagraconym biurze na tyłach supermarketu referentka Cassandra Moss nanosi poprawki na tekst wydruku z komputera. Jasna skóra jej twarzy kontrastuje z kruczoczarnymi, poskręcanymi włosami. Ma dwadzieścia trzy lata i lubi ubierać się w czerni. Jedynym kolorowym akcentem są tęcze sznurówki w jej wojskowych butach. Czytając, uśmiecha się do siebie, najwyraźniej zadowolona.

– Dzień dobry, panie Herz – mówi do wchodzącego rudzielca o purpurowej twarzy.

– Jak się masz, Cassandra – Wally Herz odstawia planszę obwieszczającą koniec świata, wyciąga z metalowego pudła nad umywalką stertę papierowych ręczników i skrupulatnie ociera pot z czoła i rąk. – Ale upał. Napisałaś?

– Tak.

– Przeczytaj!

Cassandra pochyla się nad komputerowym wydrukiem.

– „My, członkowie Soboru Ostatniego Dnia, zwracamy się do wszystkich liderów świata, a w szczególności do Ciebie, prezydencie Bush, Ciebie, prezydencie Putin, głowo ONZ-etu Kofi Annanie, papieżu Janie Pawle II, premierze Izraela, Arielu Szaronie, przewodniczący Al-Kaidy Osamo bin Ladenie, abyście uchwalili jednogłośnie i natychmiastowo powszechny rozejm światowy, gdyż wszelkie znaki na niebie i ziemi zaświadcniają, że dni nasze są policzone i szybciej, niż się tego spodziewamy, staniemy wszyscy przed obliczem Pana. Zaprawdę powiadamy, że koniec świata nadchodzi, lecz z troski, by nie wzbudzić powszechnej paniki, nie prosimy Was o to, byście koniec ów oznajmiali – w odpowiedzi na nasz apel prosimy tylko, byście przesłali nam ukryte znaki dłońmi. Będziemy śledzić z uwagą Wasze publiczne wystąpienia, a znaki przez Was przesłane niech zaświadczą, że przystępujecie do proklamowanego przez nasz Sobór Ostatecznego Przymierza...”

– Nie, nie – Wally siada obok Cassandry i wrywa jej kartkę z rąk. – Tego nie możemy pisać. Nie zgodzą się przystąpić do czegoś, czego nie wymyślili sami. Próżność im nie pozwoli. Skreśl: „proklamowanego przez nasz Sobór”.

– Przepraszam, panie Herz – w drzwiach staje potężny Murzyn w za ciasnym mundurze Wally Mart Security. W imadle lewej dłoni ściska ramię Cordeliusa, w prawej sukienkę w czerwone groszki.

– Chciał to wynieść pod koszulą.

Potrząsa sukienką i kładzie ją na biurku.

– Dziękuję, Bennie, możesz go puścić – pan Herz mierzy przekrwionym spojrzeniem wylękłego Cordeliusa, który rumieni się i kurczy w sobie, tak jakby chciał zwinąć się w kłębek i stoczyć pod biurko. – Często kradniesz?

– Nie. Nigdy. Ja zawsze i za wszystko płacę – Cordelius jąka się.

– A co tam masz w plecaku?

Bennie wyszarpuje plecak z ręki Cordeliusa i kładzie go przed swoim pracodawcą na biurku.

– Otwórz! – rozkazuje Wally Herz.

Cordelius potulnie odpina sprzączkę, ręce drżą mu coraz bardziej, wybucha płaczem i osuwa się na podłogę.

– No, bez cyrku, bo nie lubię – warczy pan Herz. – Bennie, podnieś go.

Bennie spełnia rozkaz. Cassandra ustępuje miejsca i pozwala usadzić Cordeliusa na swoim fotelu. Bennie próbuje cucić Cordeliusa coraz mocniejszymi policz-

kami, ale nie przynosi to rezultatu; źrenice uciekają gdzieś pod powieki, pozostawiając białka przeszklone łzami.

– Przestań! – Cassandra oburącz chwyta koparkę Benniego. – Wybijesz mu zęby.

Wally Herz wysypuje zawartość plecaka na biurko. W stosach wycinków gazetowych oferujących zniżki, ulgi i specjalne oferty jest pięć kaset mini-DV oraz kamera.

– To też ukradłeś? – Herz obraca kamerę na wszystkie strony. Uruchamia ją i filmuje Cassandrę, która delikatnie potrząsa głową Cordeliusa, budząc go z odrętwienia.

– Gdzie jestem? – pyta Cordelius.

– Tę kamerę też ukradłeś? – Wally Herz ponawia pytanie.

– Och, moja kamera. Proszę jej nie popsuć. To prezent.

Herz i Bennie spoglądają po sobie. W krótkim uśmiechu twarz Murzyna rozpala się bielą zębów.

– No to dzwoniemy po policję.

– Błagam! Nie! Nie róbcie mi tego! – Cordelius pada na kolana przed Wallym Herzem. – Taki wstyd.

– A jak kradłeś, to o wstydzie zapomniałeś? – pan Herz najwyraźniej bawi się przerażeniem Cordeliusa,

a może w głębi współczuje mu, widząc nieklamany lęk w dziecinnych oczach.

– Niech pan mu daruje, ojcze – Cassandra siada na swoje miejsce i wyłącza komputer – bo znowu zemdleje, a tego już nie wytrzymam.

– I zaprzepaścimy szansę, by sprowadzić zbłąkaną owcę na dobrą drogę? – w głosie Herza pojawia się troska. – Jakiej jesteś wiary, młodzieńcze?

– Jestem metodystą.

– A chcesz pogłębić swą wiarę, żeby więcej nie grzeszyć?

– Tak, proszę pana. Tak – Cordelius godzi się na wszystko, byle tylko skończyć z tą sytuacją. – Pragnę z całego serca.

– Dobrze – Wally Herz ponownie sięga do metalowej skrzynki, by otrzeć papierowym ręcznikiem pot z czoła i rąk. – Zatem przystąp do naszego Soboru... Cassandra, daj mu formularz, ja zaraz wracam.

Herz bierze Benniego pod ramię i obaj wychodzą do sklepu.

– Co to za Sobór? – Cordelius nieśmiało pyta, gdy zostaje sam na sam z Cassandrą.

– Tu wszystko jest napisane – Cassandra podsuwa formularz pod nos wciąż klęczącego Cordeliusa. – Usiądź i czytaj.



Manhattan Babilon

Cordelius jest posłuszny. Zapada cisza perforowana kapaniem zepsutego klimatyzatora.

– Dla kogo ta sukienka? – Cassandra dotyka tkaniny. – Dla twojej dziewczyny?

– Nie – Cordelius czerwieni się. – Nie mam dziewczyny.

– Nie masz? – Cassandra spogląda podejrzliwie. – Nie lubisz?

– Lubię... – Cordelius pochyla głowę, by Cassandra nie dostrzegła jego policzków.

– No to o co chodzi?

Cordelius wzrusza ramionami. Wpatruje się tępo w Cassandrę, nie wiedząc, co odpowiedzieć, i dopiero powrót Wally'ego sprawia, że szybko podpisuje deklarację.

– Dobrze – Wally odbiera formularz i chowa go do szuflady. – Zebrania są w piątki o piątej. Poznasz naszą rodzinę i przygotujesz się do chrztu. Sukienkę dostajesz w prezencie, ale nie zmienia to faktu, że musisz odpokutować.

– Odpokutować? Ale jak? – Cordelius z przestraszeniem patrzy na Wally'ego.

Siedem

Plansza z napisem KONIEC ŚWIATA NADCHODZI kołysze się ponad głowami przechodniów. Tłum nie zwraca najmniejszej uwagi ani na ostrzeżenie, ani na niosącego ją Cordeliusa, który usiłuje rozdawać ulotki. Raz po raz ktoś bierze żółty arkusz, omiata go zniecierpliwionym spojrzeniem i rzuca pod nogi orędzie Soboru Ostatniego Dnia brzmi mało oryginalnie dla mieszkańców przyzwyczajonych do haseł, takich jak to na koszulce dziewczyny mijającej Cordeliusa: „Fuck you, you fucking fuck”.

– Ty świńska mordo! Wsadzę ci ten raport do dupy i podpalę! – Na rogu Czterdziestej Siódmej i Trzeciej Alei młody biznesmen w garniturze Brooks Brothers, łososiowym krawacie, pennyloafersach i całym rynsztunku rycerza Wall Street wrzeszczy na zgarbionego Murzyna z siwymi dreadami, który kuli się pod pręgierzem wulgarnej nawałnicy.

Zaintrygowany Cordelius odstawia planszę i sięga do plecaka po kamerę. Biznesmen wyładowuje swój gniew, ignorując przechodniów i można by wszystkich podejrzewać o Mount Everest znieczulicy, gdyby nie ogromny napis na wózku Murzyna:

ZRUGAJ MNIE ZA DOLARA.

– Dziękuję – biznesmen mówi nagle uprzejmym tonem i wręcza Murzynowi banknot pięciodolarowy.

– Reszty nie trzeba.

Cordelius, który lubi nagrywać wszystko, co napotoczy się przed obiektyw, nie odrywa oczu od panelu wizjera.

– Za filmowanie biorę dziesiątaka – Murzyn zwraca się do Cordeliusa.

Osiem

Cordelius w sierpniu skończy dwadzieścia cztery lata, ale jego małe mieszkanie na ósmym piętrze przypomina pedantyczny dom lalek. Meble z lat pięćdziesiątych z wyliniałą tapicerką lśnią jak na kreskówkach Disneya; okrągły stół pokrywa wyszywana serweta i wazon z bukietem plastikowych róż; ściany zdobią chińskie makatki i wyblakły kalendarz z Doris Day. Jedynym nowoczesnym sprzętem w jego pokoju jest telewizor Toshiba i kamera DV na statywie, skierowana na dziwnie przybrane łóżko – rama sklecona z kija na miotłę, drutu i bambusowego kijka do nart podtrzymuje prześcieradło udrapowane jak kurtyna w teatryku lalek.

On sam, w rogowych okularach i z włosami wypo-madowanymi brylantyną, w odbiciu lustra łazienki wygląda na wyrosnięte dziecko. Naiwne spojrzenie błękitnych oczu, czystość cery i ubranie żywcem zdjęte z PeeWee Hermana potęgują jeszcze to wrażenie; śmiało mógłby wystąpić w serialu „Honeymooners” lub „I Love Lucy”.

Odświeżony, Cordelius wychodzi z łazienki, zapala latarkę akumulatorową przywiązaną do statywu i uroczystym gestem odsuwa kurtynę prześcieradła. Odsłania dwie nieforemne figury zrobione z kołdry i poduszek. Jedna jest w czarnej sukience z wyszytymi purpurowymi motylami, druga w prążkowanym garniturze. Dzięki stalowemu drutowi podtrzymującemu obłe kształty, bezgłowe figury siedzą na krawędzi łóżka.

— No i co, jak się czujecie? — Cordelius siada między pękatymi figurami. — Pewnie, że lepiej było w Idaho, ale teraz musimy przestać tęsknić. Bo to nas zje na amen. Zje, rozumiecie?... Trochę dzisiaj narozrabiałem. Wybacz mi... — Szlochając, Cordelius wtula twarz w purpurowe motyle. — Ale zdobyłem dla ciebie nową sukienkę... Na lato.

Poduszka wysuwa się spod kukły i spada na podłogę. Cordelius natychmiast wciska ją na powrót i - manipulując drutem - przywraca uprzedni kształt. Obie figury dziwnie pasują do Cordeliusa i tego wnętrza. Tak jakby siedziały na skraju łóżka już od półwiecza i czekały, aż Cordelius podrośnie i kupi swoje meble.

Dzwoni telefon na półce szafy z drzewa wiśniowego. Cordelius nieruchomieje. Długie, przeraźliwe



dzwonki aparatu w plastikowej, ciężkiej oprawie nie dają mu spokoju. W końcu podnosi słuchawkę.

– Nie... Pomyłka – odpowiada – jestem tego pewien. Nie, nie znam obecnego numeru, ale to nie tu. Tu jest prywatne mieszkanie... Nie szkodzi.

Cordelius rzuca słuchawkę na widelki, wyciąga z plecaka sukienkę w groszki i przebiera kukłę. Staje za kamerą i pilotem włącza nagrywanie. Zaledwie kilka sekund, po czym nieznacznie zmienia pozycję kukieł.

Krok po kroku, cierpliwie, dodaje kolejne fazy ruchu i nagrywa je w kilkusekundowych fragmentach. Pieczołowicie, w skupieniu, dbając o szczegóły i poprawiając niesforne wybrzuszenia: drut odstający od materiału zostaje wyprostowany, sterczący róg poduszki wepchnięty na powrót. Dopiero odtworzenie krótkiego nagrania ukazuje sens animacji. Kukła w białej sukience w groszki głaszcze ramię kukły w marynarce. Obejmuje ją, przytula.

Telefon dzwoni ponownie. Cordelius nie odbiera; podchodzi do szafy i próbuje ją otworzyć, by wrzucić telefon do środka – ale drzwi nie ustępują. Wyszarpuje więc przewód z gniazdka i oddycha z ulgą.

Dziewięć

Zgarbiona kobieta siedzi na ławce w parku, tyłem do alejki. Odsuwa od ucha błękitny telefon komórkowy, zamyka go i chowa do torebki. Przełożyła nogi przez otwór między oparciem a siedzeniem, byle tylko nie widzieć spacerowiczów w podeszłym wieku, ubranych z przesadną elegancją lub w pizamy. Jej twarz o szeroko rozstawionych oczach jest zmęczona. Szczupłą dłonią zaczesuje nerwowo kosmyk siwych włosów i lekko uderza czołem o pień jesionu.

— Znowu go nie ma?... Co się stało?... Żle się czuję — mówi do siebie, trzymając się za brzuch. — To nie był kompot, tylko lura. Oni chyba biorą owoce nie zjedzone przed tygodniem i zalewają wrzątkiem. Świństwo bez smaku z domieszką cukru — głaszcz chropowatą korę. — Gdybyś ty tak karmiło liście, to byś uschnęło po miesiącu. A my żyjemy... Człowiek od tyłu lat stoi nad grobem, pochyla się i kurczy, tak go ciągnie do ziemi... Ale jakoś nie chce wpaść do dziury i zasnąć spokojnym snem... McKenzie spod

piętnastki tylko w tym miesiącu... kiedy to było, w zeszłą środę, nie... w środę robili mi gastroskopię, chyba we wtorek... Tak. I nikt z jego rodziny nawet się nie pofatygował. A przecież zostawił im okazałą sumkę. Wcale niczego sobie... Kutwa jeden; na naszą loterię fantową wymodelował statki ze starych gazet. Tak jakby taka wygrana mogła kogoś ucieszyć...

– Pani Dougall, znowu pani rozmawia z drzewem – za plecami starszej kobiety wyrasta rudowłosa pielęgniarka w obcisłym jarzeniowobiałym kostiumie rozsadzanym od wewnątrz przez ogromne piersi.

– A z kim mam mówić, tu nikt nikogo nie słucha, panno Dorset. Wszyscy tylko gadają o sobie i zanu-dzają innych... A tak w ogóle, w życiu, wszyscy zajmują się tylko sobą, a drzewo jest ciche i cierpliwe. I wysłucha każdego.

– Ale nic nie rozumie... – pielęgniarka rozgląda się z roztargnieniem i uśmiecha do kogoś w oddali.

– Może odprowadzić panią do pokoju? W parku robi się ciemno.

– Wy młodzi ciągle się śpieszycie, to nie zrozumiecie drzewa – pani Dougall delikatnie dotyka kory.

– Żeby je rozumieć, trzeba z nim żyć, posiedzieć cierpliwie nie dzień czy dwa, a miesiąc co najmniej.

– Nie chce pani oglądać „Czaru par”? Zaraz się zaczyna.

– Nie, panno Dorset, jeszcze chwilę posiedzę z moim drzewem.

– Jak pani chce – pielęgniarzka opatula panią Dougall kocem upstrzonym motywem czerwonych biedronek i uśmiecha się przyjaźnie. Jasna cera jej twarzy kontrastuje ze skórą jej rąk pokrytych galaktyką piegów różnej wielkości.

– Koc w lecie? – Betsy Dougall oburza się. – Po co mi to?

– Wieczorna bryza znad Atlantyku...

– Nie, dziękuję – Betsy zrzuca okrycie z ramion. – Niech pani to weźmie. Dziękuję.

Pielęgniarzka skwapliwie podnosi koc. Składając go, przeczesuje spojrzeniem park należący do domu spokojnej starości. Long Island Golden Age Home to wyblakła, trzypiętrowa arka tonąca w zieleni. Między pierwszym i drugim piętrem opasuje ją mozaika ze srebrnym morzem unoszącym złote statki w stronę horyzontu; wydęte żagle lśnią blaskiem ostatnich promieni zachodzącego słońca.

– O czym to ja mówiłam?... – pani Dougall zwraca się do jesionu, jak tylko pielęgniarzka znika za rogami budynku. – Nie pamiętam. Co z tego, że „Czar par”? Potem znowu będą te wiadomości ze świata o wyrzynaniu się ludzi, wybuchach i katastrofach, i całym tym złu, o którym obowiązkowo wszyscy muszą wiedzieć. A przede wszystkim Irene Jones... – zadziera

głowę, by spojrzeć na koronę jesionu. — To zadziwiająca, że od ciebie nic złego nie słyszę, tylko dobre, spokojne dźwięki... A w telewizorze wciąż płoną miasta i wybuchają samoloty... W nocy, jak Irene nie może spać, komuś obcinają palce i wylupują oczy. Albo ktoś kroi kogoś piłą tarczową. I to ma być rozrywka? Filmy grozy?... Irene ma rację: wszystko, co gnieciemy w sobie za dnia – no bo w dzień przecież wszyscy są tacy mili, jak siostra Dorset, i mówią jaksięmasz, wspanialeaty, i taki pięknydzień, wyglądaszświetnie – w nocy wyłazi spod podłogi, i zalewa nam umysły...

Dziesięć

Poniedziałek, 4 sierpnia 2003

Poranne słońce sprawia, że wypolerowane meble w mieszkaniu Cordeliusa lśnią zdwojonym blaskiem. Cordelius usiłuje posadzić kukłę w sukience w czerwone groszki na łóżku, ale zrolowana kołdra jest zbyt sztywna i odkształca podtrzymujący ją drut.

– No, rusz się trochę, pomóż mi, nie bądź taka uparta – mówi łagodnym głosem. – Nawet nie wiesz, co przeszedłem, żeby ci ją sprezentować. Odsuwa szerzej kotarę i siada na łóżku. Upał i wysiłek przemaczają mu koszulę.

– Zawsze mówisz, że jesteś za słaba, żeby wyjść na spacer. Nie mogę tego już słuchać. Zobacz, jaki piękny dzień... Tak, wiem, trochę za gorąco, ale to dobrze. Przecież lubisz, jak jest ciepło. Wstań, przejdźmy się trochę, zaraz muszę iść do pracy.

Cordelius unosi walek i trzymając go w wyimaginowanym pasie, stawia ostrożnie kroki.

– Nie możesz tak wiecznie chorować. Musisz się ruszać. Wyjrzyj oknem. Wystawię cię na słońce.

Otwiera okno i wychyla bezgłową kukłę na świeże powietrze.

– Trzymaj się! – opiera walek o parapet i nogą przyciąga krzesło. – Siadaj! Tu ci będzie dobrze. Słońce jest dobre na płuca, osusza powietrze.

Próbuje ubić kołdrę, tak by utrzymała zarys pozycji siedzącej, ale dzwonek do drzwi przerywa rytuał.

Cordelius nieruchomieje, wybałusza oczy i wstrzymuje oddech. Jedynie powieki drgają nerwowo, zalewane spływającymi kroplami potu. Dzwonek znów rozbrzmiewa, tym razem uporczywy, nieznoszący sprzeciwu.

– Panie Bendix! – zza drzwi dobiega głos imitujący Sylvestra Stallone, który doszedł do wniosku, że prawdziwi mężczyźni mówią tylko basem. – To ja, Brent Gladstone, zarządca budynku. Niech pan otwórzy. Widziałem pana w oknie.

Cordelius błyskawicznie unosi kukłę, kładzie ją na łóżku i zaciąga kurtynę z takim impetem, że podtrzymująca ją konstrukcja zawala się.

– O mój Boże, mój Boże – przerażony mamrocze pod nosem, wyciera spoconą twarz w kurtynę i zasłania nią kukłę, która nabiera wyglądu śpiącej postaci. Cordelius walczy z prześcieradłem, by zburzyć podobieństwo.

– Otwórz pan, panie Bendix, bo nie mam czasu!

Dopiero trzeci dzwonek zmusza Cordeliusa do otwarcia drzwi.

– Co pan się tak ślimaczy? – do mieszkania wchodzi opalony blondyn o szerokiej klatce piersiowej, z brylantem w uchu: widać, że wiele godzin spędził w lokalnej siłowni. – Jest pan tu z jakimś narzeczonym? – śmieje się zachwycony własnym poczuciem humoru i klepie przerażonego Cordeliusa po plecach. – Ciocia prosiła, żebym miał na pana oko... nawet wczoraj dzwoniła, co u pana słyhać. Dlaczego pan nie odbiera telefonu, ani nie odwiedza cioci?

– Właśnie miałem w planie – Cordelius bełkocze pod nosem i siada na łóżku, bezpośrednio na kukle.

– O, widzę, że odłączył pan telefon – blondyn podnosi z podłogi wtyczkę. – A czemu to, boi się pan kogo?

– Nie, tylko...

– Dlatego ciocia się tak denerwuje...

– Wyłączyłem, bo wciąż były jakieś omyłkowe połączenia: ciocia pewnie brała udział w konkursach telefonicznych.

– O, tak. To rozmowna kobieta. Nudziło jej się w samotności.

– A co mnie pan tak przesłuchuje? – w Cordeliusie nagle wzbiera odwaga, lecz zaraz gaśnie. – Nie, nie mam nic przeciwko, żeby pan pytał... Wiem, ciocia się martwi i właściwie powinienem panu podziękować...

– No – blondyn jest najwyraźniej udobruchany. – Niech pan się nie przejmuj, tylko powie, czy to nie jest świetne mieszkanie.

– Jest.

– I to w jakim punkcie.

– Centralnym.

– No właśnie. I za darmo.

– Płacę siedemset dolarów.

– Co to jest? Na Manhattanie za takie pieniądze nie wynajmie się nawet budy dla psa. Ty szczęśliwy skurczybyku – klepie Cordeliusa po plecach – masz to mieszkanie tylko dzięki cioci.

Brent podchodzi do okna od podwórza i przypatruje się kobiecie myjącej ręce nad kuchennym zlewem po przeciwnej stronie.

– Pani Beckett myje ręce co pięć minut – stwierdza półgłosem, jakby w obawie, by go nie usłyszała. – Egzema. Rachunek za wodę większy niż za światło... Wiesz, sam chciałbym mieszkać w twoim mieszkaniu. Trochę tu za ciasno, bo inaczej wziąłbym dla siebie, ale wszystko widać jak na dłoni: orle gniazdo. Nie kupiłeś jeszcze lunety?

– Nie... Ja... Nie potrzebuję.

– Kup sobie! Lepsze niż telewizja. A szczególnie to okno tam w dole... Ciekawe... Chyba dzisiaj dopiero ktoś uchylił zasłonę... Co za brud.

– Które? – Cordelius daje się złapać na lep ciekawości.

– Tam... – Brent wskazuje na rząd zaciemnionych okien na trzecim piętrze, tuż przy narożniku. Pokrywa je warstwa pyłu. Jedynie okno w samym kącie, od którego odrywa się przerdzewiały parapet, jest do połowy odsłonięte. Pali się w nim elektryczne światło o czerwonawym zabarwieniu.

– To nie moja kamienica – Brent mówi konfidencjonalnym tonem – bo bym wywalił na zbity pysk. I wypalił podłogi wapnem. A dywany i tapety zdarłbym i spalił na stosie. I okadził ściany pruskim zielem. Tfu! Ohyda... To miasto to śmierdząca kloaka. – Brent Gladstone wykrzywia usta w grymasie ohydy, a zdumiony Cordelius dalej nie wie, o co chodzi.

– Czemu pan tak mówi? Kto tam mieszka?

– Nikt... O, widzisz – na moment w oknie pojawia się Murzynka w obcisłej panterce. – Shygirl! Ona zawsze zaczyna najwcześniej.

Brent wychyla się i mówi coraz donośniej:

– Z mojego okna widać lepiej... I pomyśleć, że dali ogłoszenie, że szukają kogoś do sprzątnia. Dobre. Ktoś w końcu zrobi porządek w tym burdelu...

Jedenaście

General Hwong, tęgi Koreańczyk bezustannie pociągający za kuse poły hawajskiej koszuli, otwiera boczną furtkę w metalowej bramie. Do magazynu sprzętu elektronicznego General Electronics na Zachodniej Dwudziestej Siódmej Ulicy wchodzi goniec UPS z tekturową kopertą i fakturą, którą trzyma w zębach. General Hwong chce odebrać przesyłkę.

– Nie do pana, generale. To dla Carlosa – goniec cofa rękę.

– Skopię mu tyłek – oburza się General. – To jest firma, a nie prywatne mieszkanie... Carlos!!! – General krzyczy w głąb magazynu. – Chodź tu szybko, matkojebco!

Spośród stosów kartonów Toshiba, Sanyo i Samsunga wyłania się młody Portorykańczyk, waga musza.

– O co chodzi?

– Przesyłka – rzeczowo stwierdza goniec. – Chodź podpisać.

-
- Wywalę cię na zbity pysk – krzyczy Generał – jak będziesz dawał mój adres dla swoich przesyłek!
 - Generale, a gdzie mam dawać. Ja tu pracuję czternaście godzin na dobę. W domu tylko śpię.
 - Pracujesz?!!! – Generał oddala się od drzwi. – Ty się czternaście godzin objasz i bawisz sprzętem.

Carlos Molina podpisuje gdzie trzeba i chowa list za pasek roboczego ubrania.

- Z jakiej racji ten koreański przygłup każe się nazywać Generałem? – mruczy do gońca, który uśmiecha się porozumiewawczo. – On chyba nie dosłuchał rangi kaprała.

Ukryty za piramidą kartonów, Cordelius filmuje Generała pokrzykującego na Carlosa.

- Przestań się bawić kamerą! – Hwong zauważa Cordeliusa i teraz całą agresję kieruje na niego. – Wsadź ją z powrotem do pudła i zacznij pracować! Co za ludzi mam u siebie. Ja, Generał Hwong! Takich nierobów muszę utrzymywać! Tylko spóźniają się do pracy i bawią moim sprzętem. Ja oszaleję! Wywalę was na zbity pysk! Wszystkich! Do pracy! Marsz!

Generał chce wyrwać kamerę z rąk Cordeliusa.

- To moja – urażony Cordelius tuli kamerę do piersi.

- Pokaż – Hwong nie dowierza.
- Dostałem od cioci...
- Ach tak – Hwong zwraca kamerę i uspokaja się. – Racja. Sam ją wybrałem. Ale nie przynosź jej tutaj. Tutaj liczy się tylko praca.
- Tak jest, generale. Przepraszam.

Korzystając z zamieszania, Carlos zakrada się do ubikacji i zamyka w kabinie. Pospieszenie otwiera kopertę UPS kryjącą niewielką paczkę owiniętą taśmą klejącą. Niecierpliwie usiłuje rozerwać taśmę. Wreszcie w paczce pojawia się szczelina. Carlos wsadza w nią nos i zaciąga się głęboko. Przymyka oczy. Na jego twarzy pojawia się błogi uśmiech. Jeszcze chwila i taśma ustępuje. Carlos trzyma w palcach fioletową koronkę – kobiece majtki.

Dwanaście

Nocą Cordelius obserwuje plamy światła przesuujące się po suficie – ślady zamierającego ruchu ulicznego. Pomimo późnej pory nie może zasnąć, wierci się, próbując zatonać w wodach snu. Bezskutecznie. W końcu poddaje się i podchodzi do okna na podwórko. W domu naprzeciw kilka okien wyświetla jeszcze fragmenty życia, ale Cordelius nie spuszcza oczu z tego, w które tak gapił się właściciel kamienicy. Wciąż uchylona pluszowa kotara ukazuje zmęczony dywan i fragment ściany zabudowanej boazerią z lustrem. Co jakiś czas ktoś pojawia się w polu widzenia i znika. Niekiedy, gdy uchylają się boczne drzwi, widać w lustrze zarys postaci podświetlonej nisko zawieszoną kulistą lampą.

Nie zapalając światła, Cordelius ustawia statyw i kamerę wycelowaną w okno. Dzięki zoomowi obraz przybliża się, ale ci, którzy pojawiają się i znikają na małym ekranie, nie mają twarzy. Pod tym kątem widać jedynie czubki ich głów i ramiona, a resztę syl-

wetek w perspektywicznym skrócie. Kobiety noszą szpilki lub botki na wysokich, ostrych obcasach, zahaczając o włókna dywanu; jedne są roznegliżowane, w różowych lub czarnych peniuarach obszytych piórami; inne zapięte pod szyję w obcisłe lateksowe gorsety.

Mężczyzn jest niewiele, na ogół w garniturach, tylko raz widać nagą sylwetkę chudzielca idącego na czworakach. Kulejąca, starsza kobieta, w długich czarnych rękawiczkach, prowadzi go na smyczy. W pewnym momencie zza drzwi wychodzi postać przypominająca słup owinięty błyszczącą tkaniną; od stóp do głów ciasno zapakowana w celofan stawia drobne kroki i kołysze się, omal nie upadając.

Cordelius cofa taśmę w kamerze, by sprawdzić, co na niej jest i ze zdumieniem odkrywa twarz Cassandry Moss. Tracąc przytomność, nie zauważył, że nagrał ją Wally Herz. Cordelius naciska stop-klatkę. Przygląda się dziewczynie. Jej źrenice w kolorze nocy hipnotyzują go.